

ZASZCZEKANY PAN TADEUSZ

PIOTR CIEPLAK, REŻYSER TEATRALNY:

Jestem zakochany w III RP. Przywykłem myśleć
o jednej Polsce i jednym narodzie,
a teraz wyłazą dwie Polski albo nawet trzy.

AREK GRUSZCZYŃSKI: Pana najnowszy spektakl „Suplement” według „Pana Tadeusza” nasuwa pytanie, czym jest wspólnota?

PIOTR CIEPLAK: Kiedy przez półtora roku w Teatrze Narodowym czytaliśmy kolejne księgi „Pana Tadeusza”, niesłychanym doświadczeniem dla aktorów i publiczności było odkrycie, że wspólnie rozumieliśmy słowa. Zakończyliśmy czytania sześciodniowym spektaklem z muzyką, scenografią, kostiumami. Plejada wybitnych aktorów, atmosfera jak na stadionie przy strzelaniu karnych w dogrywce. To była wspólna kąpiel w polszczyźnie i w myśleniu o Polsce. Powstała wspólnota o najpiękniejszej do wyobrażenia twarzy.

Wspólnota skupiona wokół języka polskiego i jego sensów. Do takiej chciałbym należeć. Ta opisywana w „Suplemencie” nie gromadzi się wokół wartości, ale przez zasiedzenie, lenistwo. Łączy się w negatywnych odruchach. Gromadzi się przeciwko komuś i czemuś. Boi się. Ta wspólnota nie doskonali się. Wzajemnie się naszczekuje. Nie ma autorefleksji. Ona tkwi. Jej siłą jest brak mobilności. To odwrotność Adama Mickiewicza.

Jednak Mickiewiczowskie imaginarium jest zbudowane na micie wielkiej Polski. Na dworku, kultywowaniu polskości, kiedy Polski nie ma.

Ale ten facet pisał na dnie rozpacz! W jakiejś izbie wynajmowanej w obcym mieście, tropiony przez ruskie i francuskie służby. W dodatku przez cały XIX w. figurował w kościelnym indeksie ksiąg zakazanych. Jego próba pokrzepiania polskich serc miała heroiczny sens. Chopin pisze w dziennikach: „Był u mnie Mickiewicz. Zagrałem mu parę kawałków. Spłakał się”. Mam nadzieję, że nie zagrał mu tej rozpadliny molowej z drugiego preludium.

Gdyby rzeczywiście dzisiaj czytano Adama Mickiewicza, zaliczono by go do „pedagogów wstydu”. Mickiewicz pisał o głupocie zaścianka. O tym, że chłopaki postanowili pójść na Moskwę, ale pokłócili się i poszli na Soplęcę. Że Telimena jest zdegradowaną hipsterką z Petersburga. Że kultywują tradycję i zwyczaje, lecz jednocześnie są niesłychanie peryferyjni. Mickiewicz strasznie dużo naczytał się Gombrowicza.

Czuje się Pan tutaj źle?

No co pan?! Mam żonę, przyjaciół, książki, swój język. Chodzę na marsze KOD-u, gdzie spotykam dziesiątki tysięcy sobie podobnych. Widzę piękną Polskę o twarzach Jerzego Owsiaka i siostry Chmielewskiej. Męczy mnie tylko, że swego czasu nie dość uważnie czytałem esej Jana Józefa Lipskiego „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”.

W Pana spektaklu są dwa polskie obozy?

Raczej dwie bandy rowerzystów, które niczym się od siebie nie różnią.

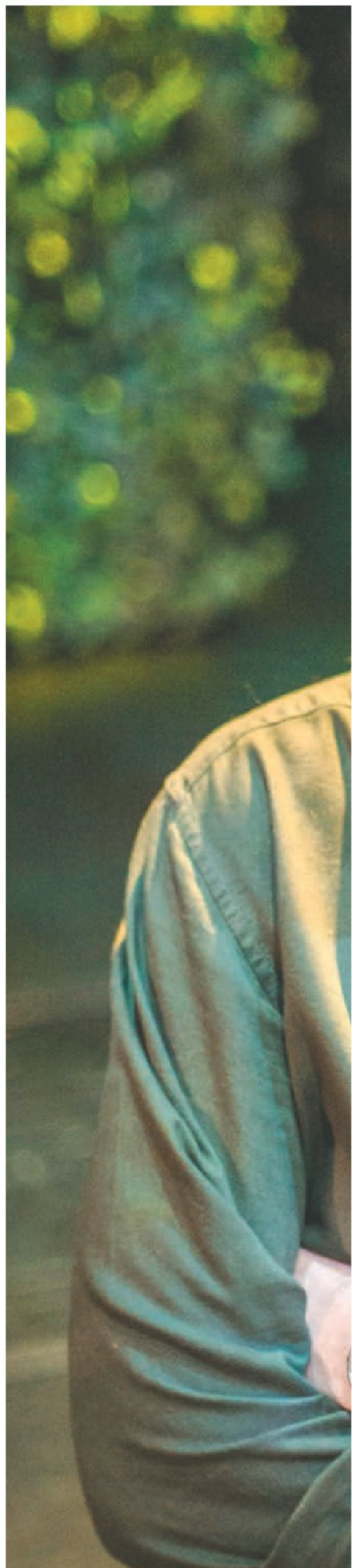
Stawia je Pan naprzeciwko czy obok siebie?

Jak w małej wiosce. Jeśli pośrodku jest sklep, to do sklepu mieszkają nasi, a dalej już inni, jacyś oni. Albo po naszej stronie rzeczki nasi, a po drugiej oni. Ci ludzie w istocie się nie różnią. Szczekanie, konflikt, permanentna eliminacja należą do mechanizmów tego stada.

Jedna grupa to mężczyźni stylizowani na żołnierzy wyklętych, a druga – hipsterzy, liberałowie.

Może i by chcieli tak właśnie wyglądać, ale najlepiej im wychodzi plucie do rzeki i patrzeć w dal.

Nie chciał być Pan publicystą?





Nie. Bliższy był mi Roland Topor.

„Rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie”.

...i Alfred Jarry, dokładnie. Nie zależało mi na wyważeniu racji. Teatr jest od spraw niewidzialnych. Nie muszę sprawdzać, co teraz moje sceny mówią o Polsce. Nie sprzedaję aluzji ani metafory politycznej czy społecznej. Zbudowaliśmy z aktorami surrealistyczny świat, który rządzi się własnymi zasadami. Chociaż przyznaję, że ta wspólnota ma swoje rytuały i objawienia na niebie, którymi są nie-me sceny z filmu „Pan Tadeusz” z 1928 r.

Wspomniał Pan, że przed „Suplementem” przez półtora roku przeczytał Pan z aktorami Teatru Narodowego całego „Pana Tadeusza”. Skąd potrzeba takiego gestu? Interesuje mnie to szczególnie w kontekście spektaklu, w którym nie pada ani jedno słowo.

„Pan Tadeusz – wszystkie słowa” to nie był gest, to był tekst. To było sedno. Teatr Narodowy po prostu wystawił uważnie i z namysłem całego „Pana Tadeusza”. Nie poświęca się półtora roku, zwłaszcza w moim wieku, dla żartu, albo happeningu, a na pewno nie dla akademii. Ze względu na objętość poematu trudno myśleć o powtórzeniu takiego przedsięwzięcia, ale ręczę, że każdy z tych wieczorów mógłby zostać pełnoprawnym spektaklem. Teatr jest chwilowy, więc godzę się z goryczą, ale jednak się godzę, że to święto było tak elitarne. Jednocześnie, już na długo przed wystawieniem ostatniej książki pod złowieszczym tytułem „Kochajmy się”, uświadomiłem sobie, że w teatrze tak czy owak skazani jesteśmy na elitarność. Zdałem sobie sprawę, że 63 procent Polaków nie przeczytało w ostatnim roku żadnej książki, że połowa nie poszła na żadne wybory, że powszechność mitu „Pana Tadeusza” jest złudzeniem i zawracaniem głowy. Powszechnie wiadomo, że to coś o mrówkach i nudzie. Natomiast wiadomo z całą pewnością, że się nie kochamy i żaden Lewandowski albo Małyśz, który później przeleci w naszym „Suplemencie”, nie połączy nas w jakieś „my”. No i zaczęły się kłopoty.

Z czym były związane?

Dyrektor Jan Englert zamówił u mnie rok wcześniej osobne przedstawienie na koniec Wielkiego Czytania. A dla tej ciemnej rzeki milczącej polszczyzny nijak nie potrafiłem znaleźć słów. I długo to trwało. Pomyślałem sobie wtedy, że skoro przeczytaliśmy „wszystkie słowa”, to może odpuszczą nam na Sądzie Ostatecznym i teraz nic nie będziemy mówić? Wylądowaliśmy więc w jakimś bezwyrazowym śnie o alternatywnej rzeczywistości, która w gruncie rzeczy nie jest taka alternatywna. Odczepiliśmy się od tekstu Mickiewicza, którego znajomość, jak się upieram, jest szczątkowa. Ale ja nie jestem prokuratorem ani panią od polskiego. Nie mam zamiaru biczować Polski, bo sam jestem w niej utyłany. Ale nagle się budzę i zadaję pytanie: co to znaczy „my”? Więc lądujemy we śnie, wydawać by się mogło w środku Europy, w którym spieramy się o trotyl na pokładzie prezydenckiego samolotu. Ostatnie miesiące każą zadać pytania, czy nadrzędna umowa o wspólnocie wyśniewanej w „Panu Tadeuszu”, stojąca wyżej od polityki, jest jeszcze oczywista.

Czyli Pan w teatrze poszukuje, eksperymentuje?

Dobrze się czuję w teatrze mieszczańskim. Staram się być odpowiedzialny za swoje uczynki, staram się nie →

→ spóźniać na próby oraz dostarczać aktorom wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego wychodzą na scenę. W rezultacie, jak by tego nie ująć, kończy się to wszystko, a raczej zaczyna, od grzebania w pytaniach i odpowiedziach karkołomnych. I nie czuję się w tym osamotniony.

Strzępka i Demirski też grzebią w Polsce.

Oczywiście! Oni są osobni. Każdy jest osobny. „W imię Jakuba S.” był wyjątkowym spektaklem, który kilka lat temu stworzył mi oczy. Pierwszy raz w teatrze zobaczyłem milczącą zemstę. Oni tą milczącą połowę Polaków inaczej diagnozowali i komentowali. Ale nie było tam o oficerach AK, nie było o dworach i szlachcie. Nie o Polsce odświętnej i Soplicowie.

Pan, stawiając obok siebie żołnierzy wykłętych i hipsterów, chyba godzi prawicę i lewicę.

W d... to mam. Dla „wSieci” jestem bluźniercą, dla „teatru poszukującego” katolikiem, białym, heteroseksualnym mieszczańinem. Jak już powiedziałem, staram się nie spóźniać na próby. Jak wystawiam „Milczenie o Hiobie” albo spektakl dla dzieci, to pytania aktorów są te same: dlaczego wychodzę na scenę?! I chrzanię „palące problemy współczesności”!

Ciekawa jest w Panu ta niespójność. Zrobił Pan przecież spektakl, który tę współczesność komentuje. Po co Panu teatr? Nie mógłby Pan osiąść na wsi, czytać książki albo założyć firmę?

Przez pięć minut jestem konserwatystą, a potem wojującym socjalistą. A potem odwrotnie.

Co tu dużo gadać. Jestem dzieckiem, o czym najboleśniej wie moja żona. Ale mam też półtora hektara ziemi i zakładam ogród botaniczny, chociaż w tym sezonie trawa po pas. Ale jestem również teatrochlikiem. A to jest związek intymny z wielką liczbą osobnych, bogatych ludzi.

Aktorzy nie buntowali się? W końcu przez półtorej godziny nie mówią.

Nie, dogadaliśmy się i zaufaliśmy sobie. Byliśmy ciekawi, co z tego wyjdzie. To niesłychana siła wspólnego działania.

Widownia nobliwego Teatru Narodowego przychodzi na „Pana Tadeusza”, spodziewając się tradycyjnego spektaklu. A tam szczerkający aktorzy.

Dla mnie nie jest nobliwy ani tradycyjny. Dla mnie jest poważny. Liczę się jednak z tym, że część osób wyjdzie rozczerowana. Chociaż nie o Polsce czytającej i słuchającej było to przedstawienie.

Gdyby dzisiaj czytano Mickiewicza, zaliczono by go do „pedagogów wstydu”. Chłopaki postanowili pójść na Moskwę, ale pokłócili się i poszli na Soplicę.

Pańscy bohaterowie w spektaklu ciągle tańczą poloneza. W pewnym momencie próbują się nauczyć języka, ale w końcu rezygnują, żeby zaatakować wycieczkę obcokrajowców. Nie za ostro?

Próbowali, próbowali, a potem zapomnieli, że próbowali. Bo krzywdę mają od świata. Więc zaszczekali. Chociaż było blisko, żeby zestroić się na choćby pierwszej samogłosce „A”. Pamiętajmy, że to tylko taka scena w teatrze.

To się dzieje po drugiej stronie dworskiego Soplicowa? Po stronie ludu, a nie szlachty?

To przedstawienie bada nieoświecony kawałek naszego stanu ducha i świadomości. Jedną z inspiracji był dla mnie Andrzej Leder i jego „Prześniona rewolucja”. Leder pisze, że dokonała się rewolucja, której do dzisiaj nie przerobiliśmy, że przespaliśmy ten czas. Komunizm zamroził debatę o nas samych. Dopiero teraz zaczynamy rozmawiać. Wielowiekowa układanka się rozpadła. Nie ma już żadnego ludu i szlachty. Razem z Żydami zostali unicestwieni, nastąpiła reforma rolna i migracje. A my, cośmy od pięćset lat obrabiali pańszczyznę i brali w mordę od pana polskiego, szwedzkiego, ruskiego, szwabskiego czy austriackiego, zostajemy z jakimś anachronicznym imaginariem.

I co z tego wynika?

Zostały wyrzuty sumienia, nieufność, samoizolacja i chęć zemsty. Kiedy pani premier wycofuje flagi europejskie ze swojego gabinetu, a kandydat na prezydenta wygrywa elekcję pod hasłem „wstawania z kolan” i „nieprzepraszania za Jedwabne”, to mamy totalny rozjazd. Nie chodzi o spór czysto polityczny. Chodzi o fundamenty, bo przywykliśmy myśleć o jednej Polsce i jednym narodzie, a teraz wyłażą dwie Polski albo nawet trzy.

Mamy coś z tym zrobić?

Nie mam pojęcia, co robić. Od 30 lat robię przedstawienia o szukaniu, za przeproszeniem, przestrzeni metafizycznej. O bogactwie człowieczym, o nadziei. Nawet w „Hiobie”. Wspieram się mądrymi autorami. Pró-

buję szukać szklanki do połowy wypełnionej. A tak smutnego przedstawienia jak „Suplement” nie zrobiłem jeszcze nigdy. (cisza) Jestem zakochany w III RP. Uważam, że nigdy w historii nie mieliśmy takiego szczęścia. Wydawało mi się, że od 2004 r., jak już weszliśmy do Unii Europejskiej, jak zaczęliśmy podróżować, remontować miasta, budować chodniki, uczyć się języków, to w końcu, powolutku, bez konwulsji, wierzyłem, że przenikniemy do tej Europy. No i masz babo placek.

Wiele osób zostało wykluczonych.

Oni też są obecni w Pańskim spektaklu. Ponad połowa Polaków żyje za 1800 zł. Poza tym modernizacja infrastrukturalna to za mało. Gdzie zmiany światopoglądowe? Gdzie liberalizacja społeczeństwa i władzy? Tego nam zabrakło w III RP – troski o wykluczonych i modernizacji „obyczajowej”.

Zgadzam się z panem, ale Balcerowicz jest moim bohaterem. Jak teraz opowiadamy o zamykanych fabrykach, to wpadamy w pułapkę myślenia ahistorycznego. Co niby mieliśmy zrobić przy 1000-procentowej inflacji i sowieckich wojskach w Legnicy? Jakie mieliśmy podjąć decyzje, żeby wszystko ocalić? Kiedy patrzę na skład sejmu kontraktowego, to jestem dumny. Teraz mam to przekreślać? Na tyle, na ile było można, wykorzystaliśmy szansę. Nie od razu Kraków zbudowano.

Wolałbym, żeby Kraków budowano dla wszystkich.

Wkur... mnie ta gadka. Mamy teraz czekać na program, który wszystkich zadowolili? Nie ma takiego człowieka ani partii. Krzywdą, krzywdą, krzywdą i zemstą! To jest całkiem nośne, co nie?! Dla wszystkich oferujemy teraz rozwałkę Trybunału Konstytucyjnego i wojskowy desant Chrystusa w Poznaniu! ©

Rozmawiał AREK GRUSZCZYŃSKI

PIOTR CIEPLAK (ur. 1960) jest reżyserem teatralnym. Studiował teatrologię w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie i reżyserię w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Był dyrektorem artystycznym Teatru Rozmaitości (1996-98). Wystawiał m.in. Białoszewskiego, „Historyję o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, „Kubusia P.” (według „Kubusia Puchatka”), „Słomkowy kapelusz”, „Hotel pod Aniołem” (przeniesienie malarstwa Nowosielskiego na język teatru), „Historię o narodzeniu Pana Jezusa pod Dworcem Centralnym”, „Księgę Hioba”, „Narty Ojca Świętego”, „Królową Śnieżkę”. Teraz w Teatrze Narodowym wystawił „Soplicowo-owocilpoS. Suplement” według „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.